TYGODNIK WILEŃSKI

Ner 75.

Dnia 22. Kwietnia 1817 roku. v. s.

ŚWIĄTYNIA PRAWDY

Sen.

Przebiegając raz w śliczny wieczór wiosenny cieniste gaje i różném kwieciem ubarwione łąki, utrudzony spocząłem na murawie coraz świéższą zieleniejącéy trawką. Tam zatopionego w różnych myślach nieznacznie słodki sen objął, wśród lekkiego szmeru topolowych liści. Zdawało mi się żem został łagodnie ujęty i wźniesiony ponad ziemskie posady. Nakoniec niewidzialną jakąś mocą znalazłem się bydź złożonym w przysionku wspaniałéy świątyni. Ozdoby jéy były gustowne ale bez przepychu; wszystko co ją otaczało, nosiło cechę nieśmiértelności i naywyższéy doskonałości, która nie jest udziałem naszego jestestwa. Sięgające niebios wierzchołkami swemi cedry, szczyt jéy ocieniały, a rozkoszą upajająca wonia czyste napełniała powietrze. Gdy tém zachwycony składałem dzięki

przedwiecznemu Stwórcy, znagła podniosła się zasłona, blask nieźmierny uderzył moje oczy, upadłem na twarz i kiedy w niejakiémś omdleniu zostawałem; jedną razą uczułem, że dobroczynna ręka chciała mię wywieść z tego stanu. Jakoż wnet przyszedłszy do siebie, uyrzałem stojącą przy mnie nadludzką istotę. Niebieskiéy barwy szata z ramienia zwieszona, okrywała biélsze nad śniég jéy ciało, szczęście i pokóy malowały się w obliczu, a promienie radości wynikały z czoła. Przejęty nieznaném dotąd mi uczuciem na widok téy cudotwórnéy osoby, słowa z ust moich wydać nie mogłem. W tém milczenie moje tak anielskim głosem przerwała. „ Kiedy bojaźń ustąpi z twojéy duszy, niémasz się czego trwożyć w téy krainie *prawdy*; budowa w któréy przysionku zostajesz jest jéy świątynią. Tu przybywać muszą wszyscy, którzy z woli Naywyższego Stwórcy mając sobie wskazany pobyt na twojéy ziemi, nędzne opuścili już ciało. Wszyscy się cisną tłumem do Swiątyni *prawdy*, ale ci tylko z niéy w radości odchodzą, którzy ją za życia czcili. Spóyrzyi na te śmiéjące się doliny co chwila odradzającą się umajone trawką, na te czyste zdroje co kryształowe tocząc nurty zielone odświeżają brzegi, na te drzewa których rozłożyste konary okryte są przedziwnego smaku owocami. Wszystko ma postać wiecznego szczęścia, wszyst-

ko nayczystszą tchnie rozkoszą; tu téż jéy używają miłośnicy *prawdy*. Nie znaydziesz w nich obłudy, płaszczem cnoty lub mądrości, zbrodnie lub głupstwo pokrywającéy. Tu w każdym mieszkańcu, na twarzy jego wewnętrzne maluje się uczucie; serce mają na ustach, których kłamstwo nigdy nieskalało. Ale w téy stronie na północ gdzie nieustannie posępne szumią bory i same tylko przeraźliwe głosy syczących gadów w bagnach się rozlegają; gdzie czarna noc okropną wiecznie rozwodzi pomrokę, niedopuszczając nigdy przedrzeć się odżywiającym promieniόm słońca; tam po zapadłych i cierniem nastérczonych jaskiniach błąkają się ci, których fałsz i obłuda jedynym były żywiołem na ziemi; i dopóty tam zostają póki nie przyidzie straszliwy moment, w którym będą musieli stanąć przed obliczem Stwórcy, aby się z czynów swych usprawiedliwili.

Uderzyła cię jasność z głębi świątyni wychodząca, bo też ciężko jest śmiértelnikowi znieść obecność prawdy, ale zniósłszy ją raz i przyzwyczaiwszy się do niéy, O! jak słodko potém kosztować owoców swéy powolności. Ażeby cię o tém przekonać widocznie, póydź i ogląday... Zaledwo swych słów dokończył ten Anioł pocieszyciel, kiedym się już znalazł w pośród świątyni. Uyrzałem się bydź tłumem ludzi otoczony, z których każdy samym był

sobą zajęty. Na wyniosłém miéyscu siedziała *prawda*, któréy wszyscy w upokorzonéy postawie słuchali; oblicze jéy było spokoyne i łagodne, ale razem pełne powagi i mocy; w każdém poruszeniu i słowie widać było szlachetną prostotę i tę mądrość, która samym tylko Niebianóm jest właściwą. Tam to przed jéy tronem, widziałem potężnych mocarzów świata, co niegdyś rojami podłych otoczeni dworaków słyszeli tylko bezwstydne pochlébstwa, które zaślepiały ich tak dalece, że nawet same występki przez siebie popełniane, mieli za naywiększą cnotę a dumne zamachy za naymędrsze układy; teraz zaś jakaż boleść serce ich ścisnęła, kiedy głos *prawdy* dał im poznać całą ich niedołężność i słabość; jakiż wstyd i ukorzenie malowały się na twarzach bezczelnych pochlebnisiów, którzy na większą jeszcze hańbę, razem ze swoimi niegdyś panami przyszli słuchać głosu *prawdy* w jéy świątyni. Tam zobaczyłem wiele bardzo tych, którzy z powołania swego na świecie nieustannie cnotę mając w ustach łudzili rodzay ludzki pozorami dobroci i braterskiéy miłości, czarnych występków częstokroć nosząc w sercu zarody; wystawiano téż ich za przykład, a fałszywa opinija to poświęcila. Lecz osłupiałem, kiedym usłyszał jak im wyrzucano nikczemną obłudę i przekonywano, że ani świętość pozorna, ani czcze gadaniny mniemaną napu-

szone cnotą, nieznaydą rzetelnéy zasługi przed naywyższém jestestwem, ale uczynki, tak, same uczynki tam roztrząsane i ważone będą. W tém rzuciłem okiem na ustronie, aż postrzegłem wyschłego człowieka, wspierającego się na filarze; oczy jego błyskały niejakąś chciwością, któréy pojąć niemożna było a ciężka gorączka zdawała się trawić jego lica, nikczemna i wytarta odzież nędzne osłaniała ciało. Gdym poglądał z niejakiémś przerażeniem na to szczególne stworzenie, powiedziano mi, że to był pewien bogacz, który nie własną pracą, ale zasługą przodków doszedlszy majątku, nigdy jego nie syty, pomnażał nieźmierne swoje skarby łzami i krwią podobnych sobie istot; twór ten obmierzły próżnym był tylko ciężarem dla ziemi, bo ani sobie, ani bliźnim pożyteczny, leżąc na niezliczoném złocie, gryzł siebie a obcą krew wysysał, jedynie dla powiększenia martwego kruszcu. Dręczyło go własne sumnienie, otworzyły się mu oczy ale już za późno, miał bowiém wnet usłyszéć święty głos *prawdy*. Tu znów godny litości nie tak przecie okropny zastanowił mię widok. Zobaczyłem woyskowego, jak się zdało, człowieka, strasznemi okrytego bliznami, który sam sobie złorzeczył. „Byłem wielkim wo-
„ dzem, mówił, tysiące wygrywałem bitew
„ i nieźmierzone padoły trupami nieprzy-
„ jaciół nieraz zasłałem, czczono mię na

„ ziemi, wielbiono, a nawet już z bogami
„ równano; a tu mi powiadają, że nie na
„ tém zależy prawdziwa chwała, aby ob-
„ szérne podbijać narody, zdzierać je i łu-
„ pić, same tylko mordy i pożogi tam wno-
„ sząc; ale żeby raczéy broniąc własnéy
„ oyczyzny, zrządzać szczęście współziom-
„ ków, trwały im zabezpieczaiąc pokóy.
„ Ach! czemuż mi tego piérwiéy nikt nie
„ powiedział? czemuż niemogłem poznać
„ całéy mojéy zapamiętałości i obłudy tych,
„ którzy mię wynosili pod niebiosa, dla
„ tego, że się lękali miecza którymem wła-
„ dał?

Im daléy sięgałem wzrokiem, tém więcéy zadziwiaiących postrzegłem rzeczy. Tam niektórych widziałem Poetów i Filozofów, wielu jednak z nich nie takie odbierało pochwały jak na ziemi. Ceniono ich dzieła w miarę talentu i pracy, naybardziéy jednak zważano, na cel jaki sobie zakładali ogłaszając swoje pisma światu. Kiedy tém umysł móy był zajęty, wielki szelest obił się o moje uszy; obróciłem oczy w tę stronę, z któréy pochodził i postrzegłem tłum jakichściś szczególnych ludzi, każdy jeden nad drugiego chcąc się pośpieszyć trzymał w dłoni zwinione szpargały, twarze ich wybladłe i oczy obłąkane, kazały mi się domyślać, że byli wariatami. Ale z wielkiém moim zadziwieniem poznałem, że to są pół Mędrkowie, i Wierszokłety. Bezrozumna

ich ślepota i samolubstwo do takiego doszły stopnia, że i tam chcieli mieć siebie za wielkich ludzi; każdy sądząc, że na ziemi nie umiano cenić ich mądrości, pewnym był, że w świątyni prawdy uwieńczą laurem ich skronie. Ale nieszczęśni, niewiedzieli co ich czekało. W tém potężny głos prawdy dał się słyszeć. „ A wy! rzekło to Bóstwo, co-„ ście się odważyli zarażać świat nikczem-„ némi płodami, nikczemniéyszéy jeszcze „ głowy i trawić drogi czas na bezrozum-„ nych czynach, wy! których zuchwałość „ nie znała granic w zarzucaniu wszystkich „ towarzystw nudnemi wierszydłami lub „ ckliwemi tłumaczeńkami, z jakiémże czo-„ łem stajecie przed moim obliczém? ja-„ każ to nadzieja wyryta jest na waszych „ twarzach? precz z mego przybytku! Nie-„ chay czarne puszcze i okropne lochy bę-„ dą waszém mieszkaniem, aż do chwili, „ która ostatecznie wasz los rozwiąże .!!! W tém się ocknąłem...... zimny pot oblał moje ciało, a wrażenie jakie ten sen zdziałał na méy duszy, na zawsze tkwić będzie w pamięci.

HYMN do BOGA.

Boże! z dzielnych cudów znany,
Nieprawy krok trwożysz ciosem
Smiértelnym ten wyrok dany,
Byś rządził ich zawsze losem.
Cmisz Istoto świetne Trony
Pysznych zniżasz dziéłmi swémi
Swiat użyźniasz dając plony,
Wszystko ożywiasz na ziemi.
Niepomniy przestępstwa, winy
Człeka są udziałem grzechy,
Gdy cię czci Boże! jedyny,
W Tobie zwykł szukać pociechy.
Broń od przygod, klęsk i zdrady,
Zwracay ploche w ludziach żądze,
Szczęść moje dobre układy
Boże! a przepuść gdy błądzę.

Józef Słoński.

Anakreontyk.

Precz! chłopczyku okrzyczany
Zwodny traf ciebie sprowadza,
Choć z Bogiń wdzięku ulany
Kunszt jednak twóy często zdradza.
Zbyt czuły, skłonny do zbrodni,
Nad człekiem wywierasz psoty,

Zarażasz duchem swéy rodni,
Topiąc go w łonie pieszczoty.
Wstrzymay, zawoła, swe żale
Płochego nic nie uczynię
Losów ludzkich nieustale,
Lecz młodość mnie nieominie.
Dobywa strzałeczek dwoie,
Szepcząc przysuwa swe kroki,
Tą ugodzę serce twoie,
Drugą Temiry uroki.
Jął się w górę Bożek tkliwy,
Rzekł miłość się często chwieje,
Tym kupido jest życzliwy,
Którzy nie wierzą w nadzieje.

Józef Słoński.

BAYKA

Sowa.

Uroiło się Sowie
W głowie,
Rzucić łasy,
Gdzie przed czasy
Zacne przodki
Nieodrodki
Na swych oyców żyżnéy niwie
Przepędzali dni szczęśliwie:

Pożegnawszy liczną zgraie,
Wnet przy murach miasta staie.
Tam z początku,
Siadła w kątku,
Daléy w bramie, a nareszcie
W samém mieście.
Przy odwiecznym mnichów gmachu,
Siadła sowa na poddachu,
I w szczęściu bez granic
Dumny ptak Minerwy,
Wszystkich maiąc za nic
Nudnie wył bez przerwy;
Lecz rozwodząc raz swe pienia
Osłupiała z zadumienia.
Jak to? co za śmiałość wyuzdana!
Ktoś mię z śmiéchem potakuie,
Lecę...... do Olimpu Pana
Tam mu zemstę przygotuię.
Strzepnęła się, i jakby wartkim ranna grotem
Nieścignionym lotem,
U Jowisza stawa tronu,
Pragnąc zemsty albo zgonu.
„Jowiszu! rzecze Jowiszu!
Panie móy nad Pany!
W odwiecznym murów zaciszu,
Ptak Minerwy był wyśmiany.
Wczoray gdym w śród śpiącéy natury,

Wielbiła sławę twéy córy,
Któś się znalazł, ach! Jowiszu ukróć bole!
Co wydrwiéwał moje pienia.
Zemsty błagam, bo inaczéy wolę! wolę!
Z twego zginąć przeznaczenia."
„Nierozsądna! Jam Stwórca natury,
Ja byt daiąc światu,
Dałem tobie głos ponury,
I twojemu bratu. (a)
Echo to zapewne, echo zawsze głośné,
Wiernié piejąc w pośród gmachu,
Cnoty przodków, wady sprośne;
Nabawiła ciebie strachu.
Echo wiernié wszystko głosi,
A więc każdy
I zawżdy
Jak zasłuży, niech tak znosi.

A. Kaczkowski.

ANAKREONTYK

Do K........

„Plutus dziś moje zasiadł ołtarze,
„Wszyscy odemnie zwracają twarze,
„Wszystkie me dzisiay marne postrzały,
„Czekay człowiecze zuchwały!

(a) Puhaczowi.

„Zmienię ja rzeczy inaczéy,
„Pokażę, co łuk móy znaczy,
„Dumę Pluta upokorzę,
„Na swóy obraz bóstwo stworzę.
„Do cnoty wdzięki ma ręka przyda,
„Wznowi się miłości siła.
Te były słowa Kupida........
Tyś się Karusiu zrodziła.

A.....B.....

BACHUS.

KANTATA IX. z ROUSSEAU.

Wesołość przy miernym użyciu wina sprzyja poecie.

Tobie boski Bachusie, twéy pieśń święcę chwale:
Nimfy, słuchaycie brzmienia méy liry w milczeniu.
Niech tam kto chce okazale
Spiéwa dzieje Hektora ku świata zdziwieniu;
Niech wskrzesza powieścią krwawą
Z grobu pamięć obrzydłą Greczynów zawzięcia:
Wielki bożku winogron, ja za twoją sprawą
Tobie święcę przedsięwzięcia.
Gronami, bluszczem, kwiatem, wieńcząc moje włosy,
Brnę wszędzie za twémi ślady;
Oddam tobie moje losy,
Wśród gry uciech i biesiady.

Ty cudnémi dary
Niebo opatrujesz:
Sząc bogóm nektary
Słodycz im szafujesz.

Tam to w gronie bogi,
Przez twoich łask dzielność,
Spełniając dar drogi
Piją nieśmiértelność.

Ty bogom rycerzy
Dajesz męstwo, siłę,
Wenus przez cię szérzy
Swe ponęty miłe.

Srogość Polifema
Ty w moment łagodzisz;
Lutnia Feba niéma,
Gdy ty nie osłodzisz.

Co za gwałtowne wzruszenie
Mimo chęci unosi móy umysł strwożony?
Na jakież błonie święte, w jakich lasów cienie,
Czuję się bydź przeniesiony?
Tajemnice Bachusa postrzegam na jawie!
Odwagą świętą będąc na sercu zagrzany
Czuję radość przy obawie;
Od Bachantek w srogiéy wrzawie
Nie był w trackich jaskiniach taki cud widziany;

Zstępuy, Miłości matko,
Przychodź ozdobić gody
Boga co mocą rzadką
Podbił wschodnie narody.
Zstępuy, Miłości matko;
Próżne Marsa przeszkody.

Już winem i miłością
Młody Sylwan rażony,
Goni Doris z czułością
Przez błonie i zagony;
Już z nimf walcząc płochością
Sylen winem zbroczony.

Zstępuy, Miłości matko,
Przychodź ozdobić gody
Bogu co mocą rzadką
Podbił wschodnie narody.
Zstępuy, Miłości matko;
Próżne Marsa przeszkody.

Precz z tych mieysc niepoświęceni,
Poddaję się wzruszeniu którém jestem tknięty.
Wy, w naysłodszego z bogów prawach wyćwiczeni,
Przynieście lirę moją, zgotuycie fest święty;
Poświęćmy w gronie naszém ten dzień ludom wielki.
Lecz wśród słodkich zachwyceń, rozczuleń, pieszczoty,
Oddalmy od nas hałas, bóy, i poswar wszelki,
Te gnuśne pijaństwa ślepoty:

Niech raczéy nie ludzki Seyta
Biesiady swoje kłótnią, zabojem ukrasza;
Niech się oręża nie chwyta
Chłopobyków zbujeckich niewinna dłoń nasza.

Niechay Bellony zapały
Naszéy uczty nie mieszają:
Bachus i jego dwór cały
Mordu, woyny unikają.

Biada krwi pragnącéy duszy,
Która przez chciwość zaboju
Swiętość tajemnic naruszy
Bachusa dawcy pokoju.

Niechay Bellony zapały
Naszéy uczty nie mieszają:
Bachus i jego dwór cały
Mordu, woyny unikają.

Potrzebaż bym toczył boje?
Za mną więc przyjaciele; do walki ruszaymy,
Osłońmy się kwiatami, czary napełniaymy,
Bachantki, bluszczopręty pożyczcie mnie swoje.
Jluż padło rywalów!.... jak walczą zażarcie!
Czuję, synu Jowisza, że się nie oddala
W tym razie twe dzielne wsparcie!
Co za mnóstwo głów pijanych na placu się wala,
Które win zalewa fala.

Tryumf! zwycięztwo!
Chwałać win Boże.
Niech żyje męztwo!
Tryumf! zwycięztwo!
Piymy, kto może.

Trąby chrapliwe
Niech wiwat grają;
Boje szczęśliwe
Trąby chrapliwe
Niech ogłaszają.

Tryumf! zwycięztwo!
Chwałać win Boże.
Niech żyje męztwo!
Tryumf! zwycięztwo!
Piymy, kto może.

Teodor Narbutt.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla mieysc prawem wyznaczonych. Dnia 20 miesiąca Kwietnia roku 1817.

August Becu Prof. Ord. Czł. K. C.
F. E. Groddeck Prof. Ord. C. K. C.